

Pamiętasz, Wanda

Daleko w ciemność wybiega ulica. Jest to właściwie taka sama ulica, jakich dziesiątki są w naszym i innym mieście, a jednak... Jej domy ze zmrokiem tracą swój zarys, w dzień wrzynają się w jasne niefrasośliwe wiosenne niebo; w podwórkach na balkonach wiszą kolorowe bety... więc właśnie taka normalna zwykła ulica, nie ma w niej nic zgoła nadzwyczajnego: ani ładna – ani brzydka.

Często pytam: co mnie tak wiąże z tą zwykłą ulicą? Nie umiem sobie na to odpowiedzieć. Dalekie światła Dworca Gdańskiego mrugają niepewnie: zielone, niebieskie. Wyje gdzieś daleko parowóz, rozdziera gwałtownie ciszę wieczorną tak niespodziewanie, że aż drgnęłaś i przytuliłaś się silniej do mnie. Teraz już właśnie wiem, właśnie teraz, gdy idziemy razem, gdy widzę twój łagodny profil z zadartym nosem, jasne włosy, które rozwiewa wieczorny wiatr – wiem, dlaczego kocham tę zwykłą ulicę, dlaczego kot miauczy przyjaźnie, dlaczego przykro mi jest, gdy widzę płaczące dziecko, jak podnosi brudne piąstki do oczu – to wszystko właśnie dzięki Tobie.

Może nawet sama się nie domyślasz, gdy tak idziesz koło mnie w swojej powiewnej sukieneczce, machając zerwaną gałązką. Nie, nie możesz się domyślać, jak bardzo Cię kocham. Ciebie, twoje włosy, kiść bzu w Twojej ręce. Czuje łagodne ciepło Twojego ramienia, przytulam policzek do Twoich jasnych, miękkich włosów, chłonę nozdrzami ich delikatny, cierpki zapach, w milczeniu ściskam Twoją małą, ciepłą dłoń. Kochamy się, jest nas dwoje, a przecież tworzymy jednego człowieka, myślimy razem, czujemy razem: jest nam dobrze.

Idziemy razem przytuleni do siebie, nie widzimy mijających nas ludzi, wyskakujemy spod przejeżdżających samochodów; ten mały grubas, który wpadł na nas, jest taki zagniewany. Ze złością poprawia okulary, mruczy coś pod nosem, dlaczego? Śmiejemy się trochę z niego – trochę do siebie. Stajemy na wiadukcie Gdańskiego Dworca, szepczesz: „Wyjmij rękę z kieszeni?”. Wpatrujemy się w migocące kolorowe światła semaforów, stoimy cichutko przytuleni do siebie, aż spłoszył nas znowu jękliwy ryk parowozu. Schodzimy na dół; mija nas grupa robotników z metra: chudy i wysoki jak tyka chmielowa zajrzał Ci w twarz i cmoknął z uznaniem, ładna jesteś. Przytulasz oburzona do mnie, a ja chętnie ucałowałbym go. Ludzie patrzą za nami z sympatią, znajomy dozorca kłania nam się, przez chwilę rozmawiamy z nieznanym łysym panem, który prosi mnie o ogień. On uchyla kapelusza, ja w zakłopotaniu targam swoją rozwichrzoną czupryną i znów, idziemy razem.

Pomyśl sobie, jak to cudownie, że nie czujemy się obco i wrogo wśród tych wszystkich ludzi, spaw, maszyn. Że wszystko jest nasze chłodny asfalt ulicy, po którym idziemy, niebo, które ma teraz kolor Twoich oczu, drzewo, z którego zerwałaś przed chwilą gałązkę akacji i wróżysz z niej: „Kocha nie kocha...” wrywam ci ją z ręki – kocha, przecież kocha. Śmiejesz się i ja się śmieję. Czeka nas nasz dom, w którym wszystko jest piękne, nawet ten mały kulawy stolik, któremu codziennie przybijamy nogę. Zamek w drzwiach chrobocze tak swojsko. Stoimy teraz obok siebie na balkonie, ogarniam Cię ramieniem, odsuwasz się łagodnie szepcząc: „Csss, Malinowska patrzy”:. Śmiejąc się całuję twoje ciepłe usta, na sąsiednim balkonie Malinowska mruży oczy.

Pod nami miasto usypia. Koń grzechocze podkowami po bruku, dozorca ze zgrzytem zamyka naszą bramę, mąż Malinowskiej wślizguje się jak piskorz, aby nie płacić nocnego. Kierowca klnąc zamyka maskę nawalonego samochodu i patrzy w niebo, jakby stamtąd oczekiwał pomocy w naprawie. Zapada noc, pomału wykreśla z pola naszego widzenia ulice i place, pachnie słodko bez, dentysta gra na pianinie i śpiewa swym beczącym głosem. Gwiazdy, które zapalają się na niebie, migocą w Twoich oczach. Milczymy. Silnik zaskoczył, kierowca z zadowoleniem trzaska drzwiami, żona woła dentystę na kolację, dziecko sąsiadki zaczyna swoją cowieczorną serenadę. A nasza miłość nie kończy się o świcie, będzie trwać wiecznie, będzie mocna jak ci ludzie, z którymi pójdziemy rano do pracy, prawda? A pamiętasz? Widzę, że pamiętasz, przytulasz się w milczeniu do mnie, czuję, że nie chcesz tych wspomnień, że nie chcesz psuć tego wieczoru pachnącego bzami. Słyszysz ten daleki żabi rechot, bzykanie koników polnych? No dobrze, nie będziemy wspominać.

Rustecki pobiegł w pośpiechu do okienka. Gdy śpieszył się i biegał po podwórku, jego kulawa noga. Zataczająca niezdarne kręgi, działała nader sprawnie.

- Wszyscy już wyjechali? – wyrzucił z siebie jednym tchem.

Dyspozytor Kokoszka, stateczny, powolny, o obwisłym brzuchu, spojrzął na tablicę.

- Jeszcze Stefana nie ma.

Techniczny zaklął.

- Pewno znowu się zachlął. To jest człowiek, jak boga Kocham.

- Zaraz nadejdzie – mruknął dyspozytor.

W tej chwili w okienku pojawiła się głowa Stefana.

- Sto siedem – podał numer wozu.

Rustecki spojrzął na jego bladą, pomiętą twarz z podpuchniętymi oczami i trącił Kokoszkę w bok.

- A co nie mówiłem? Znowu po pijaństwie.

- No i co mu pan zrobisz? – pyta obojętnie Kokoszka.

- Wyrzucę, na zbity pysk

Kokoszka wzruszył ramionami.

- Nie wolno mu?

Stefan podszedł do wozu. W głowie szumiało mu jeszcze po wczorajszej pijatyce, pod powiekami czuł piasek. Błędnie sprawdził oliwę, zapuścił silnik i nie czekając na rozgrzanie ruszył z miejsca. Rustecki spojrzął za nim ze złością.

- On zapija tego dzemsa – zobaczysz pan.

Dyspozytor uśmiechnął się zgryźliwie.

- Chcecie młodzież – macie młodzież.

Stefan leciał przez puste jeszcze ulice. Z bazy na port handlowy miał ładne parę kilometrów. Spojrzął na zegarek: dochodziła szósta. Był już spóźniony, dodał gazu, aż donośny gong silnika przeszedł w jednostajny buczący jęk. Opuścił przednią szybę – powietrze silnym strumieniem uderzyło mu w twarz i potargało włosy. Może otrzeźwieję trochę – pomyślał. – Ile tego wczoraj było, cholera. I jak to było potem? Stasiak już całkiem trup, Henek kupił jeszcze flaszkę, a dalej? Dalej rozwiewało się. Czyjeś zamazane twarze, skrzeczące głosy, dobiegające przez mgłę, obcy własny głos, ranne przebudzenie w butach, w ubraniu.

Z nieprzepisową szybkością wjechał na teren portu, aż strażnik na branie zachłysnął się z oburzenia. Podstawił wóz pod rampę i ruszył na poszukiwanie Henka. Znalazł go w kącie magazynu, jak zlewał pod kranem swoje jasne, aż do przesady barankowe włosy. Uderzył go w plecy, aż tamtemu woda poleciała za koszulę.

- No jak, Heniu, jak pażywajesz?

Pękała wyszczerzył w uśmiechu swoje drobne mysie zęby.

- Daj ty spokój, ale było tego wczoraj. Chyba ze dwa litry. A Stasiak – trup.

- Nie ma go dzisiaj w robocie?

- A skąd. Szewski poniedziałek sobie zrobił. A ty jak się czujesz?

Kamiński usiłował się uśmiechnąć.

- Jak złoto. Ale trzeba będzie się chyba zaprawić, co?

Wysupłali z kieszeni ostanie drobne. Henek skrzywił się.

- Starczy?

- Musi. Na czterdziestkę starczy, skocz, Heniu.

Wstrząsając się pili ukryci w koncie magazynu. Zaprawka należała do codziennego rytuału.

- Co dzisiaj wozimy?
- Warzywo
- O cholera, znowu po fajrant.

Pamiętasz? Tak było codziennie. Ciągłe bez grosza, ciągle pijany. Przemykałem się chyłkiem pod ostrzałem ludzkich pogardliwych spojrzeń. Patrzyli rozmaicie; jedni z uśmiechem pełnym pobłażliwości: „Trudno musi pić – alkoholik”, drudzy wręcz z pogardą, gdy czasami prosiłem o pożyczkę. Organizacja kazała mi się leczyć. Brałem antabusy przez parę tygodni, a potem znowu, po kamaryńsku. Heniek mówił: „Stefan łamiesz się?” – Nie, nie łamałem się. Zacząłem unikać ludzi, zamykałem się w sobie. Nocami przychodziły rozmaite postacie bez głów i rąk. Straszły, rozrywały moje ciało, chichotały obłąkańczo. Wtedy zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego. Twarze ludzkie były jednakowe – wszystkie młode, stare, brzydkie. Wtedy sam spróbowałem przestać pić – ale już nie mogłem.

Wtedy Ty zaczęłaś u nas pracować. Było chyba lato – prawda? Byłaś opalona na taki złocisty kolor; twój nosek był obsypany piegami. Na fartuszku miałaś znaczek zetempowski. Siedziałaś w swojej centralce telefonicznej, przychodziliśmy razem do pracy, jeszcze wtedy na szóstą. Nie znaliśmy się. Dopiero wtedy, jak przechodząc obok Ciebie zatoczyłem się, spojrzałaś ze zdumieniem. Myślałaś pewnie, że to zaczepka. Dopiero Rustecki podszedł do Ciebie i powiedział Ci na ucho – zrozumiałaś. Widziałem jak machnął ręką, wiedziałem dobrze, co Ci powiedział „Tłumaczyliśmy wszyscy – nic nie pomaga. Trzymamy go przez ...” Właśnie przez co?

Sam często zastanawiałem się: przecież powinni mnie dawno wyrzucić. Wszyscy pokazywali mi palcami, te stare panusie z księgowości aż oczy przymykały, gdy przechodziłem obok nich. Cała baza wiedziała, że takich jak Kamiński to „nie ma, nie było i nie potrzeba”, jak mówił żartobliwie Kokoszka. Niektórzy mówili: „Wyrzucicie go, do cholery, co to – szpital dla alkoholików?” Właśnie tego dnia po pracy podeszłaś do mojego dzemsa. Zaczęliśmy rozmawiać. Chwilę milczałaś, zakłopotana wpatrując się w moje przekrwione białka (im zawdzięczam przezwisko „Angor”). Twój fartuszek miał na łokciu taką maleńką cerę. Pamiętasz Wanda?

Pałac papierosa przyglądał się, jak robotnicy kończyli ładować wóz. Samochód był naładowany warzywami pod samą plandekę, nawet na opuszczonym na łańcuchach borcie stały kosze z warzywami.

- Nakitowali chyba z pięć ton – pomyślał i schylił się, żeby zobaczyć, czy resory nie siadły. Nie. Potężny dzems wytrzymał takie ładunki. Zgniół niedopałek papierosa i ruszył

szukać konwojenta. Zobaczył go, jak kłócił się z magazynierem o towar. Magazynier, z wściekłości purpurowy, wymachiwał tamtemu przed nosem plikiem kwitów.

- Waga jest – krzyczał – jest! No to czego?

- Oho, Henek robi go na wadze – przemknęło Stefanowi przez myśl.

Wskoczył na rampę.

- Co jest, panie Zdzisiu? – zapytał magazyniera.

Stary odwrócił się.

- No co, wariata szuka! Ma wagę i fartu szuka!

Henek uśmiechnął się krzywo, odsłaniając spróchniałe pieńki.

- Nie krzycz pan. Czego pan krzyczysz? Ile pan tary daje?

Malinowski miał starczą, pomarszczoną twarz, bezzębne zakłęśnięte usta, spod których wystoperczał podbródek: ostry, obrośnięty siwo brudną szczecina. Gdy zdenerwował się, nie można go było zrozumieć: słycać było pomlaskiwanie bezzębnej szczęki. Krzycząc wyrzucał z siebie strugi śliny. Malinowski bryzgnął na Stefana, aż ten odskoczył, wycierając twarz rękawem.

- Ile twój wóz waży?

Dżems ważył cztery osiemset, ale bez „bliźniaków” waga malała o przeszło trzysta kilo.

- Cztery osiemset – skłamał bez zająknięcia.

Stary aż podskoczył.

- Wariata szukacie? – klapnął – tłumaczę wam przecież...

- Nie tłumacz pan – przerwał mu Henek. Swojej przyjaciółce możesz pan tłumaczyć, żeby się nie martwiła, że wiesz pan co. Stefan, daj no książkę. Kamiński wyciągnął książkę. Napisane było czarno na białym cztery osiemset.

- No i co? – podsunął mu pod nos.

Malinowski westchnął. Zakłęśły podbródek opadł żałośnie.

- Chłopaki – powiedział - nie róbcie mnie na wadze. Nie mam z czego dokładać, a już raz wpadłem.

W głosie jego zabrzmiały błagalne nutki. Stefan odwrócił głowę. Porwała go złość na Henka. Co ten stary człowiek mógł poradzić przeciw bandzie złodziei ,która go zgodnie okradała? Z czego miał dokładać? Wiedział dobrze, że Henek zrobił go na ładne parę złotych. Ale Henek pokwitował już towar.

- Odjeżdżaj. Stefan.

Stefan ruszył z miejsca. Henek w biegu wskoczył do szoferki i walnął Stefana w plecy.

- No?

To „no” miało być zaczepką do pochwały ze strony Stefana „Globus” Henka dobrze pracował. Ale Stefan nic nie odpowiedział.

- Z czego on dołoży myślał Stefan – z czego?

Nie były to wyrzuty sumienia. Nie po raz pierwszy „kombinowali” z Henkiem. Forse mieli zawsze, wódka, dziwy, oko. Pili razem od trzech prawie lat: dzień w dzień.

A – pomyślał – gównu mnie to obchodzi. Jak frajer – niech dokłada. Bić frajerów – to była życiowa zasada i Stefan trzymał się jej nogami i rękami.

W ostatnim sklepie w Falenicy sprzedał kierownicze sklepu ;lewy towar. Henek od razu kupił wóde, zagrychę. Od długiego czasu obsługiwał wu-es-esy na trasie Warszawa – Falenica, była to tak zwana „zielona Warszawa”. Tu było najlepiej: gliny nie łapali, z wu-es-esu też nikt nie zaglądał. I wypić można było czy jakiś lewy kurs...

Wracając do bazy zatrzymywali się za Miedzeszynem. Wyciągnęli z wozu siedzenia i rozłożyli się wygodnie na trawie. Jednym pchnięciem dłoni Henek otworzył flaszkę i podał Stefanowi.

- Masz, ciąg.

Stefan sięgnął po butelkę, zawahał się chwilę i oddał Henkowi z powrotem:

- Pij, pij. Ja potem wypiję. Dzisiaj lotna łapie na mieście – skłamał. Nie bał się lotnej kontroli z MO. Czuł się po prostu nie sosie...

Henek palcem naznaczył linię na flaszcze i podniósł ją do ust. Pił na otwarte gardło; wódka przelatowała z gulgotem. Wypił co do jednego milimetra: tyle dla mnie – tyle dla Stefana.

Stefan leżał na wznak. Niebo było czyste, daleko ganiały się małe. Strzępiaste obłoczki. Lekki wiatr przynosił ze sobą zapach ziemi, bzu, trawy. Nie dokończona flaszką walała się na trawie.

Henek zaczął śpiewać: tak ni z ego ni z owego. Głos miał wysoki, wibrujący nabrzmiały z tęsknoty do własnych piosenek. Ach, pod ten głos mandolina albo guzikówka.

Ujrzałem ją pośród firanek okna,
Ujrzałem, gdy w objęciach trzymał ją.
Z rozpaczy swej chwyciłem za rewolwer,
By skazać ją za straszną podłość jej...

Strzeliłem raz, trupem padli oboje,
Mierzyłem tak, by prosto w serce jej...
Ach, Boże mój, naraz zabiłem dwoje...

Wpatrywali się w niebo, w jasne i pogodne niebo. Ziemia pachniała upajająco, powietrze było czyste, łagodne. I skąd tu nagle ten głos: przepity, płaski, chrypiący żałością. Wysoko nad głową ćwierkotały wróble, za laskiem zaklekotał bociek.

O kim, o czym wtedy myślałem – nie wiem. Może o swoim brudnym życiu, a może ... o Tobie? Dalekie wspomnienia powracały z bardzo daleka, krystalizowały się we mgle jakiś zdarzeń, wspomnień. Wyływały na wierzch, to znów, to znów nie mogłem ich odszukać: zacierały się w perspektywie lat, gubiły w gmatwaninie spraw ludzkich. Henek zawodził swoim podwórzowym głosem „Szesnaście lat więzienia się nie bije, szesnaście lat to fraszka dla mnie jest”. Wtedy na skrawku zmiętej trawy pod Miedzeszynem, zrodziło się we mnie pragnienie, pragnienie czegoś lepszego, piękniejszego od tamtej na wpół wypitej butelki i zdartej piosenki o nieszczęśliwym zabójcy. Uczępiłem się tego, ale nie wiedziałem, co robić, jak? Angor, Angor, Angor, Rustecki, baza, nawet ten stary dzems z demobilu. Myśli kłębiły mi się pod czaszką, wybiegały i wracały z powrotem. I wiesz, wtedy właśnie, wtedy pomyślałem o tobie. Dlaczego? – nie wiem. Może ożywiająca ziemia pachniała tak upajająco, a może niebo miało kolor Twoich oczu? Powracał do mnie Twój obraz – takiej, jaka zobaczyłem Ciebie pierwszego dnia: w tym czarnym fartuszkach z maleńką cerą. I wiesz co? Wtedy, tak – właśnie zrozumiałem, no po prostu, że Cię kocham. Wtedy zrozumiałem, że muszę jakoś inaczej, jakoś lepiej żyć. Była wtedy wiosna: pachnąca, niefrasośliwa. Poderwałem się, kopnąłem butelkę, aż potoczyła się do płytkiego rowu, skoczyłem do wozu tak gwałtownie, że Henek dopadł mnie w biegu i rwałem do Ciebie. Och, gdyby dzems mógł nadążyć za moimi myślami, za pragnieniem zobaczenia Ciebie. Strzałka biła pięćdziesiąt mil, silnik rozdzierał powietrze swoim wysokim rykiem. Błady ze strachu Henek łapał mnie za ręce.... Chciałem tylko cię zobaczyć, usłyszeć Twój głos... Stałem jak głupi przed drzwiami Twojej centrali, Henek latał po placu i krzyczał, że Angor zwariował.

Stałem minutę, dwie, pięć, w końcu zapukałem. Uśmiechnęłaś się do mnie, ten uśmiech przyniósł ze sobą i błękit nieba pod Miedzeszynem, i zapach pól... wtedy w myśli nazwałem Cię – Wiosenką.

- Ja cię więcej bronić nie będę – powiedział Stolarczyk – chcesz to chłaj. Ale wtedy ja pierwszy -walnął kulakiem w pierś – postawię wniosek: wywalić na zbity łeb. Rozumiesz? I

to ty młodzieżowiec, cholera, zamiast dać przykład, to... ech... gadać się nie chce, pomocników rozpijasz, wóz haratasz...

- Tylko nie wóz – warknął Kamiński.

- Mniejsza z tym. Nie chcemy – położył nacisk na tym słowie – pi-ja-ków. I to ja – pacnął się dłonią w czoło – dawałem słowo, gwarantowałem, że Kamiński nie będzie pił. Do przychodni za rączkę żeśmy cię wszyscy po kolei prowadzili – chodzisz?

- Nie – mruknął.

- Dlaczego?

- Nie mam czasu.

- A co robisz po pracy – wstrzymał krótką pauzę – chłasz? No to faktycznie nie masz czasu.

- A po cholere będę chodził? Już i tak wszyscy wiedzą, że pije, co? Już i tak każdy: Kamiński opój, do cholery, nie potrzebuję niczyjej łaski, Zresztą: po co ta mowa?

Stolarczyk ochłonął. Popatrzył przez chwilę na Kamińskiego, odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Jak sobie chcesz - rzucił na pożegnanie. Ktoś Stefana ujął za ramię. Odwrócił się - Henek.

- Stefan ty wiesz. Niech oni cię w dupę przez bibułkę pocałują. Myśli, że jak jest przewodniczącym Rady Zakładowej, to już mu wszystko wolno? Niech się nie wchrzania w nie swoje sprawy...

Stefan popatrzył chwilę w żółte kocie źrenice tamtego. Targnęła nim złość.

- Ty się nie wchrzaniaj w nie swoje sprawy. Odejdź...

- Angor, coś ty głupi - łamiesz się?

- Tylko nie Angor. Won, no już - krzyknął prawie.

Aż zatrzęsł się ze złości.

Rzucę ten cały bajzel w cholere – myślał, idąc do wozu – łaskę robią czy co? Robotę wszędzie znajdę.

Ale zrobiło mu się nagle żal tego szeregu samochodów stojących na placu, hałasów dobiegających z warsztatu, kulawej postaci Rusteckiego biegającego po placu, gorączkowego rytmu wyteżonej pracy w bazie, a wreszcie swego życia, zmarnowanego, brudnego, przepitego w bramach i gruzach. Przypomniał mu się ten dzień w lasku pod Miedzeszynem, czyste wiosenne niebo, Wanda.

- Czy pan musi pić? - Zapytała wtedy.

Aż czubki uszu zrobiły mu się purpurowe ze wstydu. Chwilę stał w milczeniu, patrząc tępo przed siebie, zanim wykrztusił:

- Nie.

Potem unikał jej. Dziwna to była miłość: ukryta w sobie, gorzka, przeklinana to znów czczona jak sakrament. Smukła dziewczyna z centralki była symbolem czegoś lepszego, nieosiągalnego. Krótko wtedy rozmawiali. Siedział, jak zwykle, milczący, skryty, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Czuł się w jej obecności jak niepotrzebny mebel w pokoju, próbował żartować: nie wychodziło. Potem widział ją kiedyś idącą ulicą, ale nie miał odwagi podejść. Uczucie beznadziejności, zniechęcenia potęgowało się z dnia na dzień. Na to nie było rady, nie pomagała już butelka i przeżarty głos Henka.

Po co wtedy poszedłem do Ciebie? Czego chciałem? Rozmawialiśmy krótko na obojętne tematy, natarczywe dzwonki przerywały nam co chwila – pamiętasz? Potem wyszliśmy razem z bazy: była już jesień. Szliśmy oboje w ten smutny, mglisty dzień. Deszcz siąpił bezustannie, spływał nam po twarzach, kałuże wody rozpluskiwały się pod nogami. Taki mglisty, deszczowy dzień. Ile żeśmy sobie wtedy powiedzieli radosnych i smutnych rzeczy. Właśnie w ten dzień.

Podłużne, żółtawe światła latarni kładły się przez całą długość jezdni. Opony przemykających samochodów syczały na mokrym asfalcie. W takim monotonnym, uporczywym deszczu wszystko traci swój zarys; drzewa, ulice, ludzkie sprawy. Błądzące bez celu w labiryncie zamokłych ulic zawędrowali aż na Ciepłą. Stefan zatrzymał się na chwilę przed jakimiś zgliszczami.

- Tu był kiedyś mój dom – powiedział. - Ciepła dziesięć.

Wanda spojrzała na niego z boku. Stał jak zwykle lekko przygarbiony, zacisnąwszy usta w jakimś gorzkim wyrazie, kosmyk mokrych włosów opadł mu na czoło, pochylony do przodu patrzył w milczeniu na zwał gruzu, z którego wystawały pokręcone tygle.

- Tu był kiedyś mój dom – powtórzyła w myśli usłyszane słowa. Co kryło w sobie to beładne rumowisko? I jakby w odpowiedzi na jej myśli za chwilę powiedział, zataczając ręką łuk nad pogorzelskiem.

- Wszyscy zostali: matka, brat, ojciec. Ja akurat wyszedłem po wodę. Wszyscy. Chciała mu powiedzieć coś ciepłego, coś bardzo ludzkiego, ale słowa niechciały przejść przez gardło. Sam przerwał milczenie pociągając ją dalej.

- A tu szósty. Podczas okupacji jeździliśmy tu z chłopakami na sankach. To już w tedy było rozwalone. Chcesz zobaczyć?

Potaknęła. Podał jej rękę. Zaczęli przeskakiwać po kupach gruzu porośniętego zielskiem.

- O tu, widzisz? Robiło się takie sanki ze starych skrzyń, płozy na kant ojciec ścinał piłką, potem obijało się płozy taśmą, kładło się na brzuch i z gruzów w dół. Wcale nie chciały iść, takie były ciężkie i niezdarne. Tam z ceglanej przychodził do nas taki chłopiec. Jego tata był lekarzem czy diabli wiedzą kim. On miał sanki; lekkie, długie, siedzenia wyplatane ze skóry, wszystkie chłopaki marzyli wtedy o takich sankach. A było nas na Ciepłej wtedy: Borkowszczaki, Jankowscy, Gienek Balcerzak.

- Zaczął wyliczać na palcach.

- A wiesz, w lecie to kombinowało się dwa łożyska, deski zbijało się rzemieniem – i hulajnoga. Sto metrów asfaltu w jedną i sto w drugą. Czasem ojciec dał parę groszy, to szło się na Pańską. Tam mieszkał taki facet, co rowery wypożyczał po dwadzieścia złotych za godzinę, za legitymację albo kartki.

To była największa radość, jechało się, z tyłu na sznurku biegł chłopak właściciela. Na rogu Twardej był taki „lekarz lalek”. Od niego kupowało się takie zeszyty – „Ken Maynard”, „Zorro – jeździec w masce” „Lord Lister, czyli tajemniczy nieznajomy”, „Jerzy Rolicz, bohaterski chłopiec”. Wszyscy czytali z całego podwórka. A potem zabawa: szło się do Haberbuscha po „kapsle” od butelek i „nawalana” w kowboi.

Przerwał na chwilę zdumiony długością własnej oracji i spojrzał na nią. Przykucnęła na stercie cegieł i patrzyła na niego.

- No mów dalej – poprosiła.

Mówił bezładnie; to uciekając w przeszłość, to sięgając do dnia dzisiejszego. Dziwna to była opowieść bez początku i końca., pogmatwana jak życie tego chłopca; raz tragiczna, raz śmieszna, nierówna, przerywana, wyrzucana z pasją z głębi duszy, to znów snująca się leniwie, monotonna jak ten deszcz dzisiejszy.

- Podczas powstania wszystko diabli wzięli, dom, rodzinę. Z obozu z Pruszkowie wyjechałem do znajomych w Mszczonowie. Mieli tam młyn. Jeść dostałem, ale tam już musiałem harować. Po wyzwoleniu prysnąłem do ciotki do Wrocławia, chodziłem trochę do szkoły. Potem ciotka umarła i znowu sam. Wtedy zacząłem pracować. „Arkadia-Dancing Bar”. W nocy, już po wszystkim, froterowałem posadzki, myłem zarzyganą toaletę. Na razie za samo żarcie, pieniędzy nie doczekałem się. Potem w hotelu – za pikolaka. Mundurek, czapeczka – a na noc gościom dziwki sprowadzałem ze Stawowej. Po sto złotych od łebka. Rozumiesz? Przerwał i szarpnął ją za rękę.

- Wanda!

Podniosła na niego oczy.

- Co?

- Nie, nic – powiedział i zaśmiał się krótko.

Śmiech zabrzmiał nieszczerze jak zgrzyt metalu po szkłe. Wanda zrozumiała go to było jak spowiedź. Odślaniał przed nią całą zgryzotę swego życia – życia, o którym nigdy nikomu nie mówił. To wiedziała. Przeszłość jego była nie jasna, pogmatwana. Był zawsze skryty, milczący, zamknięty w sobie i pił na umór, po szewsku z dnia na dzień, do ostatniego grosza. Przekrwione oczy – Angor. Unikał podnoszenia ręki – drżały mu jak starcowi. Każdy palec podrygiwał osobno, histerycznie. Nie usuwano go tylko dlatego, że nie miał ani rodziny, ani nikogo bliskiego. Mieszkał gdzieś katem u takiego samego pijaczyny jak on. Ludzi ciekawiła ta postać młoda, zgarbiona, zamknięta w sobie, z wyrazem jakiejś beznadziejności wyrytej na twarzy. Zamknięty milczący – a teraz ta spowiedź? Wanda wiedziała, że trzeba mu teraz dać coś ciepłego, jakaś matczyną pieśczętę, której nie miał. Wstała i przytuliła się do niego swoim gorącym, dziewczęcym ciałem. Oczy ich spotkały się na jeden krótki moment, przebiegły po sobie spojrzeniem. Całowali się wśród ulewnego deszczu, wśród gruzów. Czują na ustach słony smak jego łez spływających ciurkiem po policzkach.

Nie mówili nic. Słowa były niepotrzebne. Ich szczęście potęgowało to właśnie, że rozumieli się bez słów.

Szli potem razem, wtuleni w siebie, wymarłymi ulicami; na mokrych trotuarach rozmazywały się ich cienie; podłużne, fantastyczne, zmieniające się w świetle mijanych latarń. Tak ich zastał poranek, który wschodził nad domami szary, mglisty.

- Jeździłem na pająka u prywatniaka – mówił - miał twardą rękę. Bił o byle co.. Mieszkał w bursie w Legnicy. Ale nie mogłem już znieść, dostosować się do tego rygoru. Zwiąłem. Potem...

Potem było rozmaicie. Tego wieczoru opowiedziałem Ci wszystko. Wszystko, co od lat zamknąłem w sobie. Słuchałaś w milczeniu, ścisłałaś moja rękę, wsłuchiwałem się w bicie twojego serca, już wtedy były razem. Żaden inny wieczór nie był taki piękny jak właśnie te: szary i rozplakany. Tak strasznie zmokliśmy. Pamiętasz?

Ile razy potem wyciągałaś mnie z tego wszystkiego. Gdy potem szliśmy do personalnego, aby w podaniach o urlop napisać: ślub – ludzie oszaleli. „Złamię Ci życie”. „zabije Cię po pijanemu”, „przepije wszystko”. Wtedy już śmiałaś się z nich. Z tym właśnie uśmiechem weszłaś w moje życie. Twój radosny uśmiech był moim proporcem.

Z błota nie łatwo się wygrzebać. Pomagali mi wszyscy. Ty, koledzy, organizacja. Każda cegielka nowego domu była dla mnie drogowskazem. Każda Wasza ręka, każda cegielka tworzyła te siłę. Która mnie zwróciła – zresztą czy tylko mnie?

Ktoś kiedyś powiedział, że nasze życie, nasza praca, olbrzymie tempo, jakie to życie nadaje, to siła brutalna. Nie przypominam już sobie, gdzie słyszałem to zdanie. Ale jeśli tak, to szlachetna w swojej brutalności, porywająca jak fala. Widzisz teraz, gdy stoimy na balonie zawieszonym nad uśpionym miastem – te dalekie migocące światła? To Żerań, Huta Warszawa, Wesola, Ziemowit, Fabryki, domy, ulice, drzewa, dzieci, pola... to wszystko właśnie tworzy tę porywającą falę, siłę. Która czuwa nad nami i dzięki której jesteśmy szczęśliwi. Kocham Cię pamiętaj, Wanda!